

Andrzej Nowak
Kraków/Warszawa

Czy w politycznej historii jest miejsce na kategorię „zdrady”?

Profesor Jan Pomorski, zasłużony metodolog z Lublina, zdecydował się mojej ostatniej monografii poświęcić swój obszerny tekst krytyczny. Wdzięczny mu jestem za tę uwagę, pozwala mi ona bowiem podjąć próbę wyjaśnienia pewnych nieporozumień oraz dotknąć przy okazji ważnych kwestii ogólnych, do których nawiązuje Recenzent.

Nieporozumienia oraz owe kwestie ogólne ogniskują się wokół tytułu recenzowanej monografii: *Pierwsza zdrada Zachodu. 1920 – zapomniany appeasement*. Polemikę profesora Pomorskiego wywołuje zwłaszcza pierwsza część tego tytułu. Nie było żadnej zdrady Zachodu w roku 1920, nie można mówić o żadnym „Zachodzie” (jako antytezie komunistycznego „Wschodu”), a przede wszystkim nie powinniśmy w Polsce pisać o żadnej „zdradzie Zachodu” – to trzy podstawowe tezy recenzji. Ostatnia z nich, kluczowa, uzbrojona została w następujące argumenty. Po pierwsze, pisanie o zdradzie Zachodu jest jednoznaczne z „peryferyjnością przyjętej optyki”. W innym miejscu – i to drugi, odrębny argument krytyczny, Recenzent wyjaśnia, że optyka owa jest „nazbyt afirmatywna, nazbyt polonocentryczna”. Po trzecie, zgodna z tytułem treść mojej książki wprowadza „w pewną pułapkę myślenia, świadomie zastawioną przez autora na czytelnika”, pułapkę „wpisania się w określoną antyeuropejską politykę historyczną”. Ważnym wreszcie retorycznym ozdobnikiem (erystycznym chwytem) są obszernie wykorzystane przez profesora Pomorskiego cytaty z pracy wybitnego filozofa dramatu, śp. ks. prof. Józefa Tischnera – to piękny argument z autorytetu. Czy są to argumenty z zakresu fachowej historii dyplomacji i stosunków międzynarodowych? Nie będę się nad tym pobocznym zagadnieniem zatrzymywał.

Z chęcią wykorzystam natomiast właśnie nawiązanie do ks. prof. Tischnera jako dobry punkt wyjścia próby odpowiedzi na istotne pytanie profesora Pomorskiego. Idąc za (w istocie całkowicie banalnymi w tym akurat zakresie) rozważaniami *Filozofii dramatu*, zakończonymi wnioskiem, iż podstawą pojęcia zdrady jest złożona wcześniej, a niedotrzymana obietnica, profesor Pomorski pyta: „Czy latem 1920 roku najpierw obiecano nam wierność, a potem zdradzono?” I stawia „pytania pomocnicze: co nam tak naprawdę w Wersalu Zachód obiecywał? Za co ręczył?” Recenzent głosi dalej – już bez argumentów – tezę, że nie było obietnicy, która by usprawiedliwiała określenie sytuacji Polski latem 1920 r., opisanej przeze mnie w omawianej książce, w kategoriach „zdrady”.

Spróbuję zatem przywołać kilka argumentów. Tak, Zachód, a konkretnie dominujący w polityce zwycięskich po I wojnie mocarstw zachodniej Europy rząd brytyjski złożył rządowi polskiemu konkretne, formalne obietnice. Było to 10 lipca na konferencji międzyalianckiej w Spa. Premier Władysław Grabski zgodził się przyjąć w tym dniu bardzo ciężkie dla Polski warunki, podyktowane mu przez brytyjskiego premiera Davida Lloyd George’a (dotyczące m.in. ustępstw terytorialnych wobec sąsiadów), i wyraził gotowość do bezwzględnego rozpoczęcia negocjacji rozejmowych z Rosją sowiecką – w zamian za obietnicę właśnie. Brzmiała ona tak: „w razie, jeżeli wojska rosyjskie odmówią rozejmu, to Sprzymierzeni [czyli alianci zachodni, z Wielką Brytanią na czele – A.N.] dadzą Polsce wszelką pomoc, specjalnie w materiale wojennym – ile tylko to będzie możliwe, z uwzględnieniem swego własnego wyczerpania i ciężkich zobowiązań, gdzie indziej powziętych – a to celem umożliwienia narodowi polskiemu obrony jego niepodległości”¹.

Paradoksalnie, sam profesor Pomorski dostrzega to w końcowej części swej obszernej polemiki, stwierdzając, iż przeinaczam sens układu ze Spa i noty Curzona, bowiem uznaję je za ultimatum wobec Polski (taki w istocie charakter miała rozmowa Lloyd George’a z Grabskim w Spa – tu zgadzają się wszyscy historycy tego epizodu dziejów dyplomacji), a przecież było to zobowiązanie do udzielenia pomocy Polsce. Tak jest, otóż to! To właśnie podkreślam – a profesor Pomorski jakby tego nie chciał dostrzec. Powtórzę zatem: zobowiązanie do udzielenia pomocy Polsce, zagrożonej w swej niepodległości, zostało złożone jednoznacznie i formalnie. W dodatku za dużą cenę. Opatrzone zostało uwagą o prawdopodobnym ograniczeniu dostaw sprzętu wojskowego, ale na pewno wykluczało możliwość zawarcia przez mocarstwa sprzymierzone (z Wielką Brytanią na czele) układu z Rosją sowiecką w momencie bezpośredniego zagrożenia niepodległości Polski. A taką właśnie decyzję podjął – jak

¹ Układ w Spa zob. *Odbudowa państwowości polskiej. Najważniejsze dokumenty. 1912 – styczeń 1924*, wyd. K. Kumaniecki, Warszawa–Kraków 1924, s. 292; por. *Documents on British Foreign Policy 1919–1939*, First series, vol. II: 1919, ed. E.L. Woodward, R. Butler, London 1948, s. 347.

opisują to dość obszernie w swej książce – premier Lloyd George 10 sierpnia. Przyjął wtedy, za dobrą monetę, sowieckie warunki podyktowane Polsce i przekazane mu w tym dniu przez członka pięcioosobowego wówczas Politi-biura Rosyjskiej Komunistycznej Partii (bolszewików), faktycznego zastępcę Lenina, Lwa Kamieniewa. Owe warunki oznaczały sowietyzację Polski. Lloyd George podjął decyzję, by za pośrednictwem posła brytyjskiego w Warszawie rekomendować ją rządowi polskiemu do przyjęcia. O tym jest w istocie moja książka. O tym, jak doszło do takiej decyzji. Decyzja ta, w sytuacji, kiedy wojska sowieckie walczyły już na przedmieściach Warszawy o to, by „przez trupa białej Polski” ruszyć dalej, na Berlin (rozkaz Tuchaczewskiego w tej sprawie był znany – za pośrednictwem dziennika „Times” – publiczności brytyjskiej, podobnie jak fakt ustanowienia już w Białymstoku nowej, sowieckiej władzy dla Warszawy – Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski, z Julianem Marchlewskim i Feliksem Dzierżyńskim na czele)², może być uznana za złamanie obietnicy formalnie danej w Spa. Za zdradę. Takie jest moje stanowisko.

Dodajmy, na marginesie, że bezpośrednią zdradą, złamaniem umowy w każdym razie, była wysłana bezpośrednio w ślad za układem w Spa z premierem Grabskim tzw. nota Curzona z 11 VII 1920 r. – adresowana przez kierownika brytyjskiego Foreign Office do ludowego komisarza spraw zagranicznych Gieorgija Cziczierina. Owa nota bowiem, tak ważna w swych geopolitycznych następstwach już w czasie II wojny światowej, mapką nakreśloną przez Philipa Kerra, sekretarza brytyjskiego premiera, przekazywała stronie sowieckiej całą Galicję Wschodnią. I to stało się zgodnie z wolą faktycznego nadawcy tej noty, premiera Lloyda George’a, ale całkowicie wbrew wcześniejszej decyzji mocarstw sprzymierzonych (z grudnia 1919 r.), oddającej terytorium Galicji Wschodniej w zarząd państwu polskiemu, a przede wszystkim wbrew ustaleniom z rozmowy z premierem Grabskim ze Spa 10 lipca. W protokole rozmowy premiera brytyjskiego z polskim z tego dnia zostało zaznaczone, iż Kerra upoważniono do ustalenia (w przygotowywanej przez niego mapie) „linii rozejmowej [między stroną sowiecką a polską – A.N.] we wschodniej Galicji na pozycjach zajmowanych przez wojska w chwili podpisania rozejmu”³. Wojska polskie w całości panowały w tym momencie na terenie Galicji Wschodniej, znajdując się wciąż daleko na wschód od linii Zbrucza. Tak zwana nota Curzona, zawierająca wezwanie strony sowieckiej do rozmów rozejmowych z Polską, oferowała tymczasem Moskwie następnego dnia – bez żadnej konsultacji z rządem polskim – Galicję Wschodnią (nigdy nienależącą wcześniej do Imperium Rosyjskiego)

² Zob. „The Times”, 9 VIII – telegram z Warszawy o powstaniu TKRP w Białymstoku.

³ Protokół posiedzenia Rady Najwyższej Ententy przy udziale premiera RP Wł. Grabskiego, w: *Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich*, t. III: *Kwiecień 1920 – marzec 1921*, oprac. W. Gostyńska i in., Warszawa 1964, s. 161.

w całości⁴. O tej decyzji rząd polski nawet nie został poinformowany. To są konkretne, jak sądzę, przykłady złamania konkretnych obietnic, konkretnych zobowiązań, umów – ze strony przywódcy Wielkiej Brytanii, działającego w Spa w imieniu sprzymierzonych (dodajmy, że od razu przeciwko takiemu postępowaniu dyplomacji brytyjskiej protestować próbowali obecni przy rozmowach w Spa dyplomaci francuscy, uznając je za złamanie wcześniejszych ustaleń z Polską)⁵. Czy to wystarczy, żeby mówić o zdradzie?

Kiedy jednak zaproponowałem tytuł swej monografii, miałem na myśli inny jeszcze wymiar pojęcia zdrady: mianowicie sprzeniewierzenia własnym deklaracjom, własnej, oficjalnie ogłoszonej rzec można, karcie zasad – przez zwycięskie w I wojnie światowej mocarstwa zachodnie. Poczynając od 14 punktów prezydenta Wilsona, z ich punktem 13 dotyczącym nienaruszalnego prawa Polski do niepodległości, istotne *novum* porządku powojennego, jaki miał tworzyć zwycięski Zachód, stanowiło dopuszczenie prawa mniejszych narodów do bytu politycznego. To było *novum* w stosunku do stuletniego porządku wiedeńskiego opartego wyłącznie na zasadach „koncertu mocarstw” i równowagi sił między nimi. Teraz miały, w imię ogłaszanych w latach 1918–1919 nowych zasad, dostać prawo do niepodległości także mniejsze, słabsze narody. Na gruzach pokonanych imperiów: Hohenzollernów, Habsburgów oraz osmańskiej Turcji miały pojawić się nowe państwa, narodowe. W imię tej samej, Wilsonowskiej, głoszonej wszak publicznie na konferencji pokojowej w Paryżu, zasady prawa narodów do samostanowienia o swoje miejsce pod słońcem upomną się także narody egzystujące wcześniej w Imperium Rosyjskim (Litwa, Łotwa, Estonia, Finlandia, Ukraina, Białoruś, Azerbejdżan, Gruzja, Armenia...). Nie wobec wszystkich mocarstwa zachodnie przyjęły formalne zobowiązania. Ale wobec niektórych – tak. W imię tego ogólnego prawa, przypomnę (obszernie omawiam to w swej książce), sam premier Lloyd George, podczas trwania konferencji pokojowej, bronił Polski przed sugestiami członka delegacji Imperium Brytyjskiego, gen. Jana Smutsa, by w ogóle zrezygnować z tak kłopotliwego – z punktu widzenia silniejszych sąsiadów (czyli Niemiec i Rosji) – nowego tworów na mapie Europy. Premier brytyjski był gotów okrawać mocno miejsce na mapie dla tej nowej Polski przeznaczone, ale i on, i jego francuscy i włoscy koledzy, oczywiście także Wilson, jednoznacznie uznawali prawo Polski do własnego państwa – jako „sztandarowy” przykład realizacji szerszego, deklarowanego w Wersalu, „prawa narodowości”. Ta deklaracja praw wolności zbiorowej – narodowej, obok obrony zasady wolności indywidualnej – liberalizmu – była swoistym znakiem rozpoznawczym idei, które tworzyły nowe rozumienie Zachodu

⁴ Szerzej o tym por. A. Nowak, *Pierwsza zdrada Zachodu. 1920 – zapomniany appeasement*, Kraków 2015, s. 150–174.

⁵ Piszę o tym szerzej w: *Documents diplomatiques français – źródła do politycznej historii wojny polsko-sowieckiej w 1920 roku*, „Dzieje Najnowsze” 2006, nr 3, s. 145–151.

i gwarantowanego przezeń ładu politycznego, inne niż w XIX w. Sens tej zmiany najzwięźlej podsumowuje Zara Steiner w klasycznej syntezie stosunków dyplomatycznych owego okresu: „Uznanie prawomocności zasady narodowościowej oznaczało jedną z wielkich, sejsmicznych zmian w porządku międzynarodowym ustanowionym w roku 1919”⁶.

Drugą taką zmianą stało się pojawienie w końcu roku 1917 i utrwalenie do lata 1920 r. radykalnie nowego systemu ideologicznego, świadomie kontrastującego z Zachodem i ogłaszającego wojnę z jego porządkiem politycznym. To system komunistyczny, reprezentowany przez Rosję sowiecką. Przez ów kontrast z „anty-Zachodem”, z Rosją sowiecką i odtwarzanym przez nią w 1920 r. imperium, pojęcie Zachodu nabiera nowego znaczenia. Oczywiście było ono używane od czasu przeciwstawienia bardziej liberalnych, parlamentarnych monarchii Wielkiej Brytanii i Francji – po 1815, a zwłaszcza po 1830 r. – trzem mocarstwom Świętego Przymierza, z carską Rosją na czele. Francja i Wielka Brytania tworzyły polityczną oś owego Zachodu, Rosja carska była rdzeniem „despotycznego”, „reakcyjnego” Wschodu Europy. Rosja jednak przecież przez cały ten czas, aż do końca 1917 r., nie zrywała wspólnoty z europejskim systemem politycznych instytucji ani też nie stawiała sobie za cel jego obalenia i zastąpienia własnym. Trudno nie dostrzec zmiany, jaką wprowadziło pod tym względem zwycięstwo bolszewików w wojnie domowej i trwałe opanowanie władzy przez nich nad Rosją. Ta zmiana konstytuuje na nowo, bardziej wyraziście, pojęcie Zachodu. W nim lokują swoje nadzieje ci, którzy czują się zagrożeni bezpośrednio ekspansją nowego, groźnego, bezprecedensowego w tej grozie systemu. Przekreślenie owych nadziei przez politykę współpracy mocarstw zachodnich z Rosją sowiecką, kosztem słabszych narodów znajdujących się na szlaku imperialnej ekspansji „czerwonej” Moskwy, było traktowane przez wielu polityków i publicystów, przez niemałe odłamy opinii publicznej – tak owych „peryferyjnych” narodów, jak też samych społeczeństw zachodnioeuropejskich – jako zdrada właśnie: zdrada ideałów czy też idei Zachodu jako wolnego świata, jako obrońcy systemu wolności⁷.

Profesor Pomorski stara się całkowicie zakwestionować tego rodzaju przeciwstawienie. Stwierdza, iż trudno mówić już w roku 1920 o takim radykalnym kontraście między Zachodem a Rosją sowiecką i instalowanym w niej systemem politycznym, bowiem ów system „jeszcze nie okazał zbrodniczego charakteru”. To mocne stwierdzenie. Bardzo mocne. Pozwolę sobie wobec niego przytoczyć, za Orlandem Figesem, historykiem rewolucji rosyjskiej niereprezentującym bynajmniej konserwatywnego czy „zimnowojennego” stanowiska, odmienne wypowiedzi potwierdzone w setkach innych współczesnych monografi: już

⁶ Z. Steiner, *The Lights that Failed. European International History 1919–1933*, London 2005, s. 84.

⁷ Najobszerniejszego przeglądu w tym zakresie dostarcza wciąż stara monografia E.M. Carrola, *Soviet Communism and Western Opinion 1919–1921*, Chapel Hill 1965.

pod rządami Lenina Czeka stała się wszechwładną policją państwową, terror stał się integralną częścią systemu bolszewickiego – terror, który kosztował już do lata 1920 r. życie z pewnością nie mniej niż kilkaset tysięcy ofiar⁸.

Lubelski metodolog jest konsekwentny. Skoro w roku 1920 nie można jeszcze mówić o zbrodni jako sposobie funkcjonowania systemu komunistycznego, nie wolno także używać odnośnie do niego określenia „totalitarny”. Argument w tym zakresie wysunięty przez profesora Pomorskiego jest wręcz rozczulający: skoro termin „totalitaryzm” został wprowadzony w obieg dyskursu publicystycznego i naukowego dopiero w latach dwudziestych XX w., i to w odniesieniu do faszyzmu włoskiego, to nie wolno go zastosować do określenia systemu wcześniej działającego. Ależ by się zdziwili koledzy-mediewiści, gdyby usłyszeli, że powinni porzucić termin „feudalizm” z tego tylko powodu, iż był on całkowicie nieznan w opisywanych przez nich czasach... Przypomnijmy wobec tego – z kolei za Richardem Pipesem: „wszystkie atrybuty totalitaryzmu miały swoje antecedencje w leninowskiej Rosji: oficjalna, wszechobejmująca ideologia; jedyna partia wybranych, kierowana przez «wodza» i dominująca nad państwem; terror policyjny; kontrola partii rządzącej nad środkami komunikacji masowej oraz armią; centralne sterowanie ekonomią”⁹. Tak, to już było widoczne w roku 1920. Przynajmniej dla niektórych, dla wielu nawet.

Profesor Pomorski stara się jednak zakwestionować znaczenie przeciwstawienia tak rozumianego, nowego systemu z jednej strony i „wyobrażonej wspólnoty” Zachodu (a Zachód, tak jak inne wspólnoty, w tym narodowe, jest przecież wspólnotą wyobrażoną właśnie) jako systemu deklarowanej demokratyczno-liberalnej wolności. Czyni tak dlatego, iż trafnie odczytuje sens tytułu recenzowanej monografii: zdrada Zachodu, o której piszę, polega przede wszystkim na podjęciu przez przywódców politycznych mocarstw zachodnich (w tym wypadku Wielkiej Brytanii) gry w „realizm polityczny” z radykalnie nowym przeciwnikiem, który faktycznie rzucił wyzwanie całemu porządkowi ideowemu, społecznemu, moralnemu, jaki reprezentowały owe mocarstwa. Pierwszą ofiarą tej gry padały słabsze państwa, uznane w wyobraźni politycznej części elit zachodnich mocarstw za peryferyjne (to jest właściwe słowo opisujące rzeczywisty kształt „map mentalnych” owych elit i wynikające z niego konsekwencje polityczne, a nie jakaś perfidnie zastawiona przeze mnie „pułapka myślenia” czy wybrana arbitralnie „peryferyjna optyka”). Na tym polega istota *appeasementu*, który jest kojarzony powszechnie dopiero z postawą mocarstw zachodnich wobec Czechosłowacji i żądań Hitlera w roku 1938. Dodam na marginesie, że popis erudycji bibliograficznej, który daje profesor Pomorski w zakresie studiów nad *appeasementem* – by zarzucić mi

⁸ O. Figes, *A People's Tragedy. The Russian Revolution 1891–1924*, London 1996, s. 649.

⁹ R. Pipes, *Rosja, komunizm i świat. Wybór esejów*, tłum. A. Nowak, Sz. Czarnik, Kraków 2002, s. 32.

jej brak – jest gestem erystycznym trafiającym w próżnię. Zadania badawczego postawionego w mojej książce nie stanowiło powtarzanie badań nad historią *appeasementu* w drugiej połowie lat trzydziestych XX w. – ta bowiem jest znakomicie przebadana i można by przytoczyć setki jeszcze innych niż profesor Pomorski, bardziej reprezentatywnych dla ustaleń historiografii w tym zakresie tytułów. Ja tego nie musiałem robić, ponieważ próbowałem zbadać coś innego: to, co uważam za pierwszy przykład takiej polityki – dotąd nieprzedstawiony w historiografii.

Recenzent z Lublina jednak chce zakwestionować prawomocność właśnie takiego ujęcia: według niego nie wolno mówić o *appeasementie* w roku 1920, bowiem nie było wtedy jeszcze totalitarnego przeciwnika Zachodu. A w każdym razie nie istniała w elitach politycznych mocarstw świadomość takiego charakteru owego przeciwnika – stąd niczym nagannym, niczym dającym się opisać w kategoriach „zdrady” własnych zasad nie było przyjmowanie zastępcy Lenina w łoży honorowych gości w parlamencie brytyjskim i przekazanie mu 10 VIII 1920 r. (kiedy Armia Czerwona szturmowała Warszawę, w drodze na Berlin) zgody Londynu na sowietyzację Polski. Nie można mówić o *appeasementie* w projekcie Davida Lloyd George’a, by na przygotowywanej przez niego wielkiej konferencji w Londynie wspólnie z Rosją sowiecką narysować na nowo mapę polityczną Europy Wschodniej, w nadziei na zaspokojenie apetytu politycznego Lenina poprzez oddanie mu kraju nad Wisłą. Nie wolno tak tego ujmować, stwierdza profesor Pomorski, ponieważ „o totalitaryzmie w Związku Radzieckim można mówić dopiero od czasów samodzielnych rządów Stalina, co potwierdzają wszyscy poważni badacze” (najwidoczniej nie należą do nich cytowany Pipes ani też setki innych historyków poświadczających i „zbrodniczy charakter” systemu sowieckiego, i obecność wszystkich jego totalitarnych cech już w państwie Lenina).

Pomorski używa argumentu dalej idącego jeszcze: nawet jeśli były jakieś niebezpieczne cechy systemu sowieckiego, z którym premier brytyjski chciał prowadzić międzyimperialny *business as usual*, to elity zachodnie po prostu nie miały tego świadomości. To podwójnie ryzykowny argument. Po pierwsze dlatego, że bardzo łatwo wykazać, że w prasie brytyjskiej, i to tej najpoważniejszej, czytanej przez wszystkich polityków, pełno było już w roku 1920 nie tylko informacji o ideologicznej naturze i rewolucyjnych praktykach Rosji sowieckiej jako radykalnego „anty-Zachodu”, ale także głębokich analiz tego zjawiska i precyzyjnej krytyki prób „zaspokajania” nowego agresora przez mocarstwa zachodnie¹⁰. Taką świadomość mieli też liczni przedstawiciele

¹⁰ Zob. np. takie artykuły w londyńskim „Timesie”, jak *The Polish Crisis* – z 26 VII 1920, *A Very Dark Hour* – z 9 VIII 1920 czy Harolda Williamsa (wcześniejszy długoletni korespondent liberalnego „Manchester Guardian” w Rosji), *Lenin’s World Plot* – fenomenalna wręcz w swej przenikliwości wizja metod sowieckiego imperializmu – z numeru z 10 VIII 1920. Artykułów i informacji o takiej treści i tendencji znaleźć można latem 1920 r. w najpoważniejszych tytułach prasy angielskiej czy francuskiej dosłownie tysiące. Por. znakomita

zachodnich elit politycznych, z Winstonem Churchillem, George'em Curzonem, Horacem Rumboldem czy Alexandre'em Millerandem – by wymienić tylko niektórych bohaterów mojej książki. Świadomość totalitarnego (*avant la lettre* – ale sedna sprawy to nie zmienia) zagrożenia związanego z komunistycznym imperium była w roku 1920 dostępna. Nie tylko w „zakompleksyjnych” (a może raczej: bezpośrednio zagrożonych?) społeczeństwach słabszych, bezpośrednich sąsiadów, potencjalnych ofiar owego imperium. Użyty przez profesora Pomorskiego w obronie „Zachodu” (a konkretnie jego politycznego lidera – brytyjskiego premiera) argument z niewiedzy o zbrodniczej naturze systemu, który się politycznie sankcjonuje, jest jednak ryzykowny jeszcze z drugiego powodu. Ma on bowiem swój inny dramatyczny przykład – chyba odstrasżający: tj. argument tzw. zwykłych Niemców, którzy nie wiedzieli nic o totalitarnej naturze systemu, któremu służyli, nie wiedzieli nic o dokonywanych przezeń zbrodniach, z Holocaustem na czele. Profesor Pomorski sięga po ten sam w gruncie rzeczy argument, by bronić „zwykłych polityków” prowadzących politykę w imieniu Zachodu – tych, którzy wybrali *appeasement* z Leninem w roku 1920. Oni jednak nie wiedzieli nie dlatego, że nie mogli wiedzieć, ale dlatego, że nie chcieli wiedzieć¹¹.

Można się z takim punktem widzenia nie zgadzać. Ale trudno chyba zakazać jego przedstawiania w nauce. Tymczasem to mnie mój lubelski Recenzent zarzuca, iż staram się swoją „z góry przyjętą tezę nie tylko obronić, ale narzucić innym”. Nie bardzo wiem, w jaki sposób mogę ją narzucać – napisałem tylko książkę, zebrałem w niej pewien materiał źródłowy. Kto chce, może tę książkę przeczytać, kto chce, może zakwestionować zebrany w niej materiał i przedstawione wnioski – najlepiej za pomocą własnej pracy ze źródłami. Profesor Pomorski owe wnioski odrzuca. Ale niestety piętrzy tylko argumenty retoryczne, nie sięgając do źródeł. Stwierdza więc, że wybrałem w swej pracy drogę nie „badacza”, ale „prawnika”, który „z góry zaczyna z określonym przekonaniem, określoną tezę, którą stara się narzucić innym. Szuka dowodów na ich poparcie, a te, które są mu niewygodne, zwyczajnie pomija”. Sądzę, że profesor Pomorski opisał precyzyjnie własny sposób postępowania przy pisaniu swej recenzji. Nie wskazuje „niewygodnych dowodów”, które pominąłem. Posuwa się natomiast do tak mało eleganckiej metafory, w której przytoczony przeze mnie raport posła brytyjskiego w Warszawie, Rumbolda, krytykujący politykę Lloyd George'a jako fundamentalnie błędną, nazywa „dodatkovym asem”, którego wyciągam „z rękawa”. To już zarzut szulerstwa naukowego, bardzo nieprzyjemny, a oparty dokładnie na takim

analizę doniesień prasowych z lat 1918–1920 na temat „Soviet atrocities” – i ideologicznych blokad, powodujących ich odrzucanie przez część brytyjskich kół politycznych – P. Wright, *Iron Curtain. From Stage to Cold War*, Oxford 2007.

¹¹ Tak to ujmuje w swoim fundamentalnym dziele R. Pipes, *The Russian Revolution*, New York 1990, s. 839.

oto założeniu: źródło, które przytaczam, nie odpowiada koncepcji, której chce bronić mój recenzent, przeszkadza mu w niej (bo jednak byli Brytyjczycy, którzy widzieli groźbę systemu sowieckiego, głupotę prób zawierania z nim dżentelmeńskich porozumień i niemoralność dokonywania takich prób kosztem państw trzecich) – zatem nazywa jego przytoczenie „asem z rękawa”. To jest chyba język „prawniczy” i to raczej z podrzędnej adwokatury?

W swoich „sztuczkach prawniczych” profesor Pomorski posunął się już na samym początku swej recenzji bardzo daleko, stanowczo za daleko. Przykro powiedzieć, ale poza granice uczciwości w obchodzeniu się z cytatai (a zwłaszcza z ich autorami). Zasłużony metodolog z Lubina jakby nie opanował podstaw metodyki pracy ze źródłami, jakich uczy się chyba jeszcze w szkole, przed studiami. Oto swoją rozprawę z moją pracą rozpoczyna od niezwykle oryginalnego ustawienia przeciwnika. Między przypisem 8 a 9 tekstu profesora Pomorskiego pojawia się obszerny, nieopatrzony żadnym przypisem cytat. Ma on kluczowe znaczenie dla jego dalszego wywodu, bowiem zostaje on przedstawiony jednoznacznie tak, jakby był to cytat mojej wypowiedzi, w istocie cytat z mojej książki, ujawniający sedno mojego płacznego, pełnego kompleksów nastawienia do problemu „zdrady Zachodu”. Zaczyna się ów cytat od stwierdzenia „Zachód zdradzał Polaków wielokrotnie”, przypomina dalej Napoleona, legionistów na Haiti, zawiedzione nadzieje powstańców listopadowych i styczniowych na pomoc, aż po konferencję w Jałcie... Niestety, ta stereotypowa wyliczanka nie jest cytatem z mojej książki ani żadnych moich słów. Jest to wypowiedź redaktora Adama Leszczyńskiego z „Gazety Wyborczej”, z jego recenzji z mej książki¹². (To bardzo osobista wypowiedź redaktora Leszczyńskiego, którą bezpośrednio poprzedzają słowa: „Zachód zdradził nas w Jałcie i teraz też zostawił nas samych” – słyszałem w dzieciństwie, które przypadło na czas stan wojennego...” – takie miał dzieciństwo Adam Leszczyński, moje było inne – i przypadło na czasy Gomułki). Redaktor „Gazety” w takim kontekście odczytuje moją książkę. Ma do tego pełne prawo. Ale profesor historii, tym bardziej metodolog, nie ma chyba prawa podstawiać wypowiedzi jednego autora drugiemu, tylko dlatego, że jest mu to retorycznie przydatne?

Chyba tylko publicystyczne zaciętrzewienie profesora Pomorskiego dyktuje mu inne jeszcze retoryczne zabiegi, mające zdyskredytować atakowaną przez książkę i jej autora, zgodnie oczywiście z opisaną w recenzji „prawniczą” metodą postępowania. Wymienię jeden jeszcze taki zabieg – jest bowiem istotny. Otóż znakomity Polemista zarzuca mi „mentalność Kalego” (skądinąd kilkakrotnie także stawia zarzut „nienaukowego” języka, jakim posługuję się w swej książce – rozumiem, że ta akurat metafora ma wartość naukową?). Stwierdza, że piszę o roli Polski jako ofiary (w 1920, na szczęście jednak

¹² Recenzja ukazała się 8 XII 2016 r. Zob. <http://wyborcza.pl/7,75517,21088557,nagroda-mo-czarskiego-2016-andrzej-nowak-o-pierwszej-zdradzie.html> (dostęp: 14 V 2017).

niedoszłej ofiary) *appeasementu* brytyjskiego, nie piszę natomiast o agresji Piłsudskiego/ Żeligowskiego na Litwę czy o kwestii Zaolzia w roku 1938. Pozwolę sobie wobec tego zauważyć, że zajmuję się sytuacją *appeasementu* właśnie – czyli próbami zaspokajania totalitarnego (czy imperialnego) agresora, kosztem słabszej ofiary. Dlatego nie wspominam o zajęciu Wilna w roku 1920 przez Polskę, ponieważ nie miało ono nic wspólnego z „zaspokajaniem” jakiegoś trzeciego państwa, np. Rosji bolszewickiej, kosztem Litwy. Można natomiast, jak najbardziej, rozpatrywać to zagadnienie w innym kontekście, przymierzając niejako paradygmat imperium i imperializmu do polityki II RP. Nie wiem, czy można tutaj zarzucić mi „mentalność Kalego”, bowiem w ostatnich kilkunastu latach najczęściej chyba ze wszystkich polskich badaczy takie właśnie przymiarki podejmowałem i starałem się przedstawić Rzeczpospolitą (tak I, jak i II) w kontekście współczesnych światowych studiów porównawczych nad imperiami. I z takiej też perspektywy opisywałem politykę Piłsudskiego wobec Litwy wielokrotnie, także w litewskich czasopiśmie naukowych¹³. Nie było natomiast żadnego merytorycznego uzasadnienia, by marszem Żeligowskiego na Wilno zajmować się w książce o zapomnianym *appeasementie* roku 1920. Skoro rzecz jest o roku 1920, to również nie wydawało mi się konieczne wspomnianie w jej ramach czasowych o niechlubnym przypadku współdziałania II RP w rozbiórce Czechosłowacji w roku 1938. Owszem, można byłoby raczej wspomnieć tutaj o podobnej roli hieny (skoro już używamy „ostrych” metafor), jaką odegrała czeska polityka, prezydenta Masaryka i ministra Benesa, w chwili najazdu Armii Czerwonej na Polskę, latem 1920 r. – i uzyskała przy tej okazji zatwierdzenie swego, wcześniej zbrojnie dokonanego podboju Zaolzia, przez mocarstwa zachodnie...

Sam profesor Pomorski wspomina jednak mimochodem, że gdzieś w recenzowanej książce rezygnuję z „optyki ofiary”, a mianowicie w części IV, gdzie analizuję kwestię Ukrainy, a także „białej” i tzw. trzeciej Rosji w polityce polskiej roku 1920. Tak, to była moja inicjatywa badawcza oraz interpretacyjna: nie ukrywać „niewygodnego kontekstu”, ale przeciwnie – odsłonić go w całej pełni. Dlatego pozwoliłem sobie wprowadzić w obieg naukowy szereg nowych dokumentów ukazujących analogie do polityki *appeasementu*, czyli zaspokajania sowieckiego sąsiada kosztem słabszych jego ofiar – „zaspokajania” przez Polskę. Proszę wybaczyć, ale śmiem twierdzić, że spośród historyków polskich dostarczyłem w ostatnich latach najwięcej chyba nowych argumentów

¹³ Zob. np.: A. Nowak, *Between Imperial Temptation and Anti-imperial Function in Eastern European Politics. Poland from Eighteenth to Twenty-first Century*, w: *Emerging Meso-Areas in the Former Socialist Countries. Histories Revived or Improvised?*, ed. Kimitaka Matsuzato, Sapporo 2005, s. 247–284; idem, *History and Geopolitics. A Contest for Eastern Europe*, Warszawa 2008; idem, *Imperiological Studies. A Polish Perspective*, Kraków 2011; idem, *The Polish-Lithuanian Empire*, w: *The Encyclopedia of Empire*, ed. N. Dalziel, J. MacKenzie, London–New York 2016; idem, *Józefo Piłsudski rytu politikos tisklai 1918–1920 metais*, „Lietuvos Istorijos Metrastis” („Rocznik Historii Litewskiej”) 2001, s. 151–168.

źródłowych potencjalnemu oskarżeniu Piłsudskiego i II RP o prowadzenie polityki „zaspokajania” wobec Lenina kosztem „białej” Rosji... Szczególnie ważny jest tutaj także przypadek Ukrainy Petlurowskiej, bowiem wobec niej Polska, z inicjatywy Piłsudskiego, podjęła wszak zobowiązania polityczne, których nie dotrzymała. Na pewno można tutaj użyć także kategorii „zdrady”. Polska w tym akurat kontekście może wystąpić w roli części „Zachodu”, który deklaruje przywiązanie do pewnych wartości, zawiera nawet pewne układy ze słabszymi, zależnymi partnerami – ale ich nie dotrzymuje... I właśnie dlatego dołączyłem część IV do mojej monografii, by taką refleksję podjąć, by spojrzeć na problem *appeasementu* z perspektywy dylematów moralnych, jakie pojawiają się w polityce międzynarodowej w wieku totalitaryzmów. Pojawiają się nie tylko przed Lloydem George’em, ale i przed polskim Naczelnikiem Państwa. Jeśli wskazać mógłbym tutaj jedną istotną różnicę, to polegałaby ona na tym, że Piłsudski i towarzysząca jego planom wobec Ukrainy część elity politycznej II RP zdawała sobie sprawę z tego, że zawiodła, że zdradziła swoich partnerów. Stąd pamiętne słowa Piłsudskiego wypowiedziane do internowanych oficerów Petlury: ja was, panowie, przepraszam... To mało z perspektywy Ukrainy, ale nie tak mało z punktu widzenia, który chciałem naświetlić w swej monografii. O tego rodzaju postawie czy świadomości niewątpliwie trudno mówić w odniesieniu do brytyjskich pomysłodawców polityki *appeasementu* kosztem Polski (i całej Europy Wschodniej) na pewno w roku 1920. Czy inaczej w roku 1945?

I tu dochodzimy wreszcie do zasadniczego argumentu profesora Pomorskiego. Nie można oskarżać „Zachodu”, jego polityków, o zdradę Polski czy innych krajów naszej części Europy, powinniśmy natomiast, a w każdym razie wolno nam mówić o zdradach własnej wspólnoty politycznej wobec innych. Dlaczego? Po pierwsze dlatego, sygnalizuje mój Recenzent, że pisanie o takich przypadkach, jak przedstawiany w mojej monografii, grozi „polonocentryzmem”, postawą „nazbyt afirmatywną” wobec własnej wspólnoty. Otóż ja się z takim argumentem nie zgadzam. To jest argument ideologiczny, nie historyczny. Nie powinno być dwóch miar w historii politycznej: wobec wspólnoty polskiej – historia krytyczna, wobec europejskiej wspólnoty i jej zachodnich centrów – monumentalna (że użyję znanej systematyki Nietzschego). Jeśli odkrywam nieprzedstawioną dotąd historię postawy imperialno-kolonialnej, z której wynika gotowość do *appeasementu* z innym, agresywnym imperiaлизmem, kosztem słabszej politycznej ofiary – to uważam, iż mam prawo opisać taki przypadek. Nawet jeżeli ofiarą w tym wypadku byłaby Polska. I nawet jeśli postawa gotowości do *appeasementu* formuje się na podłożu kolonialno-imperialnej mentalności części elit zachodnioeuropejskich. Bo tak się zdarzało, że Polska była ofiarą tego rodzaju polityki. Podobnie, jak stała się ofiarą takiej polityki np. Czechosłowacja w roku 1938. Czy można wezwać Czechów, żeby nie wspominali o konferencji monachijskiej, bowiem grozi im niebezpieczny „czechocentryzm”? Można, oczywiście – ale wydaje mi się to

niezgodne z powołaniem historyka do zajmowania się przeszłością, taką, jaka ona była, a przynajmniej taką, jaką potrafimy zobaczyć.

Wspomniana przez profesora Pomorskiego groźba przyjęcia perspektywy peryferyjnej w takim wypadku, a więc utożsamienia się z losem peryferii, wyzyskiwanej przez imperialne centrum, centrum siły politycznej, gospodarczej, kulturowej – taka groźba jest na pewno warta przemyślenia¹⁴. Ale nie może ona zahamować badania rzeczywistych przypadków i „mechanizmów” (przepraszam za niezgrabną metaforę) takiego podporządkowania „mentalnego” i geopolitycznego. Czy zakwestionujemy w ogóle prawo do prowadzenia studiów utrzymanych w paradygmacie postkolonialnym? Możemy z takim ujęciem polemizować, ale wykluczać z naszej historiografii chyba go nie powinniśmy, bo może ono odsłaniać część naszych dziejów, a w każdym razie pewien ich realnie oddziałujący kontekst.

Mój znakomity Polemista przypisuje mi jednak pewną intencję, która jest zupełnie inna: miałoby nią być pragnienie realizowania polityki historycznej, której podstawę stanowi utrwalenie w polskiej świadomości zbiorowej chorobliwej w istocie postawy „istnienia istnieniem zdradzonym” (jak to ładnie, za ks. Tischnerem, nazywa). Przeciwstawia tej, odczytywanej w mojej monografii, polityce historycznej – własną, dobrą: opartą na „mentalnym narodowym wyzwoleniu z umysłowości zniewolonej paradygmatem zdrady”. Dzięki temu mielibyśmy odzyskać „etykę solidarności”. To już oczywiście rozważania niemethodologiczne, a ściśle ideologiczne: jakiej historii Polacy potrzebują? Nie będę ich w tym miejscu podejmował. Pragnę tylko zauważyć, że profesor Pomorski przechodzi w końcu swego tekstu do sugestii otwarcie politycznych, aktualnych, publicystycznych: pisze o „mierzeniu się z trudną polską wolnością w czasach IV RP” i stawia tezę, że w imię tego wyzwania, powinniśmy dzisiaj raczej zastanowić się: „co oznacza dziś, w warunkach polskich A.D. 2017, zdradzać Zachód?” A więc jednak wolno mówić o zdradzie – ale tylko wtedy, jeśli analizujemy, jak to Polska zdradza Zachód. I zdrada, i Zachód okazują się wtedy kategoriami dopuszczalnymi i naukowymi? Oczywiście w takich ramach interpretacyjnych książka o realnej polityce Lloyda George’a zgody z Rosją sowiecką kosztem Polski i o poprzedzającej ją mentalności imperialnej części zachodnich elit, w której Polska (tak jak inne kraje Europy Wschodniej) okazuje się tylko „puzzlem”, do dowolnego przedstawiania zgodnie z grą między mocarstwami – nie może być dobrą monografią naukową, co stwierdza w swym końcowym werdykcie profesor Pomorski. Tego rodzaju książka może być, według niego, właśnie tylko przejawem polskiej zdrady Zachodu, zimno wykalkulowaną realizacją „określonej antyeuropejskiej polityki historycznej”.

W takim kluczu łatwo odkryć wszystkie „ukryte” w niej chytrze sugestie. W ten sposób profesor Pomorski odczytuje zawarte w mej książce nawet proste

¹⁴ Znakomicie ujmuje ostatnio ten problem Tomasz Zarycki w pracy: *Ideologies of Eastness in Central and Eastern Europe*, New York 2014.

stwierdzenia faktu, jak np. to, iż Lloyd George był „liberalnym przywódcą zachodniego mocarstwa”. Tak się akurat złożyło, że Lloyd George reprezentował partię liberalną i pewne rozumienie ideologii liberalizmu, doskonale zgodnego z imperialną mentalnością¹⁵, i tak się składa, że stał na czele rządu (koalicyjnego, z konserwatystami), który rządził Wielką Brytanią. Ale mój lubelski Recenzent „wątpi”, by słowo „liberalny” „znalazło się tutaj przypadkowo”. Tropi tutaj część antyliberalnego, antyzachodniego spisku. Cóż, taka hermeneutyka podejrzeń jest możliwa, ale wydaje mi się mało twórcza.

Twórcze byłoby chyba raczej porównywanie (słowo – konfrontowanie – brzmiałoby może nazbyt wojowniczo, ale także warto je rozważyć) różnych spojrzeń na historię. Bo w historii Polski i Europy (Zachodu) – w historii takich pojęć wyobrażonych, tak długo i przez tak wielu wyobrażanych – odnaleźć możemy bardzo różne rzeczywistości, rozdziały, punkty widzenia, epizody – i jakich byśmy tu jeszcze metafor nie użyli. W tych historiach występuje różnorodność. Polska na pewno nie była tylko zdradzana, ale zdradzana w swej historii bywała. I zdradzała sama (jak o tym piszę i przed czym, pisząc swą książkę w roku 2014, przestrzegałem – czego Recenzent nie zauważył – by nie włączać się w politykę *appeasementu* realizowaną kosztem Ukrainy wobec putinowskiego neoimperializmu). I każda z tak różnych perspektyw wprowadzających w nasze dzieje zbiorowe kategorię zdrady wydaje mi się uprawniona. Ja akurat zająłem się przypadkiem – jak mi się zdawało – najmniej zbadanym. Nigdzie nie podkreślałem, że tak widzę CAŁĄ historię Polski i jej relacji z Europą, z Zachodem – tak jak w Spa, jak w nocy Curzona. Nie, tak nie jest. I w innych swoich książkach, których rzecz jasna profesor Pomorski nie ma powodu czytać, przedstawiam zupełnie inną perspektywę na inne fragmenty dziejów Polski, jak choćby w pierwszych trzech tomach *Dziejów Polski*, obejmujących okres od chrztu do roku 1468¹⁶. To akurat jest czas, w którym istnieją niezliczone powody, by uwypuklić fundamentalne znaczenie wpływów kulturowych, duchowych, cywilizacyjnych, przychodzących z Zachodu (często z Południa – z łacińskiego Rzymu, ale także bardzo często z Niemiec, jak choćby w procesie „drugiej modernizacji” ziem piastowskich – tej z wieków XIII–XIV). Przychodziły do tego miejsca, które nazywamy Polską i czyniły je Polską. Nikt albo przynajmniej mało kto w Polsce w owym czasie „istniał istnieniem zdradzonym”. Ale też Polska była peryferiami wspólnoty cywilizacyjnej Europy, coraz ważniejsza, coraz bardziej centrum doganiająca – na mapie mentalnej części elit zachodnich jednak (i w ekonomicznej rzeczywistości na pewno) pozostawała

¹⁵ Na ten temat zob. U.S. Mehta, *Liberalism and Empire. A Study in Nineteenth Century British Liberal Thought*, Chicago 1999. Por. A. Nowak, *Skąd się wzięło „imperium zła”? Historyczna geneza formuły Ronalda Reagana*, w: *Ronald Reagan a wyzwania epoki*, red. A. Bryk, A. Kapiszewski, Kraków 2005, s. 241–254.

¹⁶ Zob. A. Nowak, *Dzieje Polski*, t. I–III, Kraków 2014–2017.

peryferiami. To położenie, a także z tym związane nasze nadzieje, bunty, dylematy, kompleksy i poczucie zdominowania (niekiedy może jednak uzasadnione?) są także dla zrozumienia naszej historii ważne. A może nie tylko naszej, może także innych peryferii? A może i dla zrozumienia centrum owej wyobrażonej wspólnoty kulturowo-historycznej, jaką nazywamy Europą, jaką nazywamy Zachodem?

Nie rozumiemy historii lepiej, jeśli zakażemy pisania o niej z perspektywy politycznie niewygodnej. Niewygodnej z punktu widzenia mitu wiecznej ofiary (i tylko ofiary), ale także niewygodnej z punktu widzenia mitu o „zdradzonym Zachodzie”, niepokalanym, doskonałym ośrodku wzorów dla polskiej prowincji. Imperialno-kolonialne dziedzictwo zachodniej Europy warto także i wolno chyba poznawać z perspektywy polskich, a szerzej wschodnioeuropejskich czy środkowo-wschodnioeuropejskich doświadczeń¹⁷. Bo tylko w dialogu różnych doświadczeń i różnorodnych perspektyw można uniknąć tego niebezpieczeństwa, o którym starałem się powiedzieć w mojej książce: pokusy myślenia o innych, o innych wspólnotach politycznych także, jak o „puzzlach”, które oczywiście nie mają prawa do swojej podmiotowości. I pokusy realizowania w oparciu o takie myślenie polityki *appeasementu* – kosztem innych.

¹⁷ Zob. L. Wolff, *Inventing Eastern Europe. The Map of Civilization on the Mind of the Enlightenment*, Stanford 1994. Por. też: A. Nowak, *Political Correctness and Memories Constructed for „Eastern Europe”*, w: *Memory and Change in Europe. Eastern Perspectives*, ed. M. Pakier, J. Wawrzyniak, New York–Oxford 2015, s. 38–56.